

W NUMERZE

LUDZIE I WYDARZENIA

- 8** Łukasz Wójcik
Exodus XXI wieku
- 14** Wojciech Szacki
Referendum: bardzo drogie fiasko

TEMAT TYGODNIA

- 16** Malwina Dziedzic
Mariusz Janicki
Kult prezydenta Dudy

POLITYKA

- 20** Violetta Krasnowska
Sięć posła Burego

RAPORT: POLSKA PRZED WYBOREM

- 24** Juliusz Ćwieluch
Czy ta armia nas obroni?

SPOŁECZEŃSTWO

- 28** Elżbieta Turlej
Kto, komu i dlaczego odbiera dzieci
- 31** Czy wiara dzieli? – rozmowa z **ks. Andrzejem Dragułą**
- 34** Olga Bierut
Człowiek, który wynalazł syntezator mowy
- 36** O tym, dlaczego ważniejsze są różnice klasowe, a nie płciowe – rozmowa z ekonomistką **Alison Wolf**

RYNEK

- 38** Cezary Kowanda
Gdzie się podziały miliony ze SKOK
- 42** Adam Grzeszak
Czy reklamy przestaną szpecić miasta

ŚWIAT

- 46** Filip Gańczak **NIEMCY Z imigrantami da się żyć**
- 50** Piotr Kowalczyk **WŁOCHY Papież ma kłopot z Medziugorie**
- 54** Adam Krzemiński **CHINY American dream po chińsku**



8,46 Uchodźcy mogą się przydać



24 RAPORT: Swojskie wojsko



28 Odbierane dzieci



50 Medziugorie: pożyteczna herezja?

HISTORIA

- 58** Jan Dziadul
Katowice mają 150 lat
- 62** Wojciech Mazur
Czy Zachód rzeczywiście nas zdradził

NAUKA

- 66** Andrzej Hołdys
Użyteczna teoria chaosu
- 70** **NAGRODY NAUKOWE POLITYKI: wspaniała piętnastka**
- 72** **TECHNOECHO**

KULTURA

- 78** Rozmowa z **Krzysztofem Łukaszewiczem**, reżyserem dramatu wojennego „Karbala”
- 82** Piotr Sarzyński
Patriotyzm w sztuce: kicz, patos, pouczenie
- 85** **KAWIARNIA LITERACKA Grażyna Plebanek**
- 86** Marcin Zwierzchowski
Tolkien: nowe dzieła pośmiertne
- 88** Mirosław Pęczak
Kim są fani Jarocina
- 91** **MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

- 92** Piotr Sarzyński
Architektura sięga po średniowiecze
- 96** Urszula Schwarzenberg-Czerny
Zdradzający podwójnie oszukani
- 100** Marcin Piątek **Krzysztof Cegielski: żużlowiec, który się podniósł**

NA WŁASNE OCZY

- 108** Joanna Leszczyńska
fotografie Anna Musiałówna
Otrząsnąć się z bezdomności

STAŁE RUBRYKI

- **6** Mleczko i Mizerski
- **8** Ludzie i wydarzenia • **74** Afisz
- **102** Passent • **103** Stomma
- **104** Hartman • **105** Tym
- **106** Do i od redakcji • **107** Fusy
- **114** Polityka i obyczaje

BMW EFFICIENTDYNAMICS.
MNIejsza EMISJA. WIĘKSZA RADOŚĆ Z JAZDY.

Nowe BMW serii 2
Gran Tourer



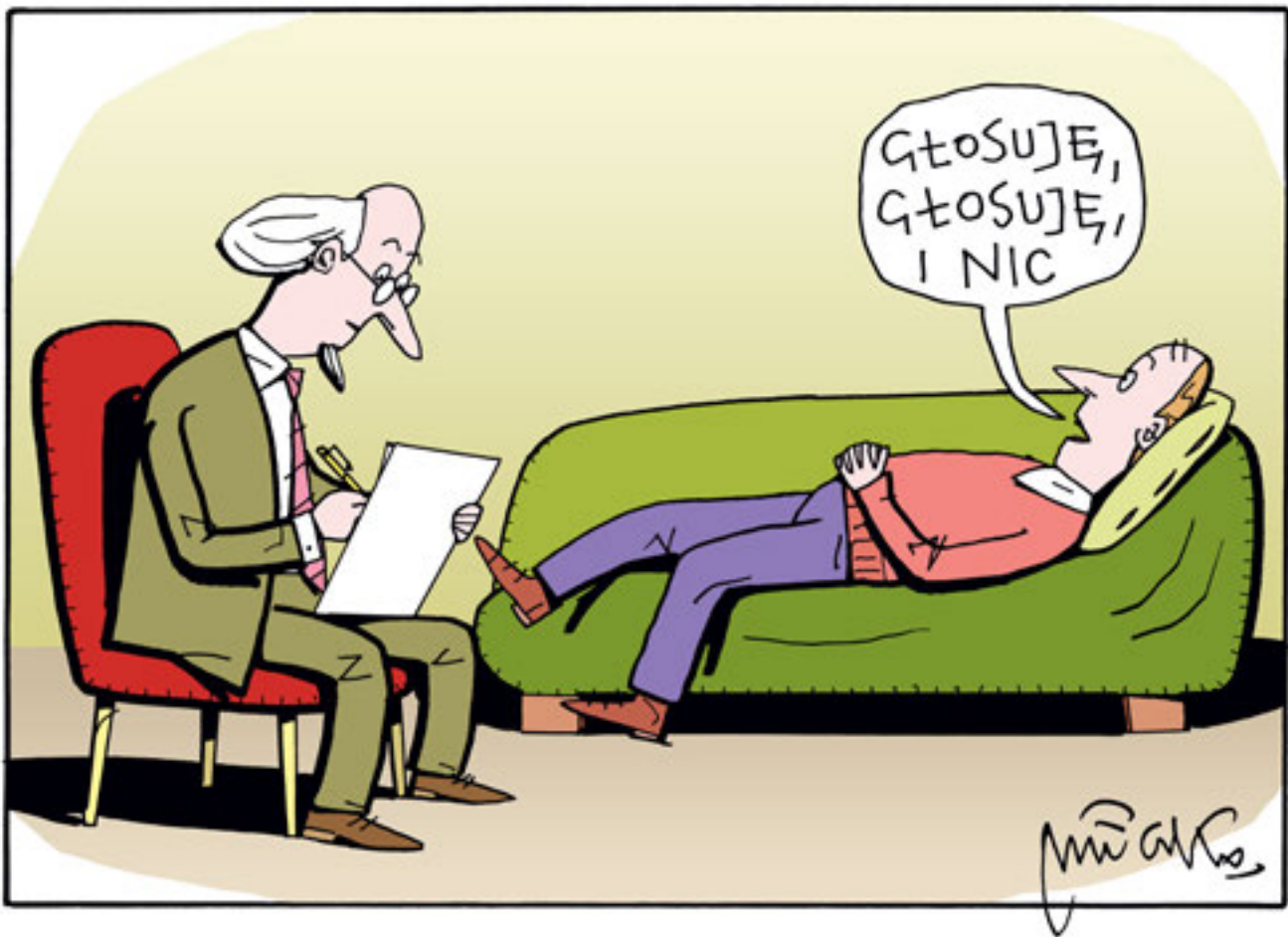
www.bmw.pl

Radość z jazdy



WITAMY W RODZINIE.

PIERWSZE W HISTORII BMW SERII 2 GRAN TOURER.



ślawomir mizerski z życia sfer

Prezydent wstaje z kolan

felieton



Nie milną komentarze po berlińskiej wizycie Andrzeja Dudy, podczas której w obecności niemieckiego prezydenta poddał on surowej krytyce panującą w państwie polskim niesprawiedliwość. Andrzej Duda nie zgodził się z opinią prezydenta Niemiec, że Polska ma na swoim koncie spore osiągnięcia, i dał do zrozumienia, że ta pochopna, niczym nieuzasadniona opinia może wynikać z niedoinformowania i słabej orientacji. Oczywiście nikt nie zabrania prezydentowi Niemiec, żeby był z Polski zadowolony i żeby Polska mu się podobała. Ale uważam, że nie powinien o tym mówić publicznie i drażnić w ten sposób prezydenta Dudy, w opinii którego o niesprawiedliwości w państwie polskim najlepiej świadczy istnienie niedożywionych dzieci, będących efektem rządów Platformy. Wiele niesprawiedliwości spotyka również Kościół, który jest niesłusznie oskarżany

o szerzenie religii i wobec którego podejmuje się wysiłki zmierzające do oddzielenia go od państwa, chociaż biskupi ostrzegają, że jest to niemożliwe.

Szczególnie bolesne są niesprawiedliwości dotyczące przeszłości. Doszło do tego, że rocznicowe obchody wydarzeń Sierpnia '80 i powstania Solidarności na wiele lat zostały zawłaszczone przez osoby, które tymi wydarzeniami kierowały lub w nich osobiście uczestniczyły. Na szczęście po wyborze Andrzeja Dudy na prezydenta sytuacja się zmieniła i wielu uczestników tych wydarzeń można było wreszcie na rocznicowe obchody nie zaprosić, dzięki czemu zrobiło się więcej miejsca dla tych, którzy z Sierpniem nie są kojarzeni, ale bardzo by chcieli być (np. szefa „S” Piotra Dudy czy pisowskiej kandydatki na premiera Beaty Szydło). Ważnym aktem sprawiedliwości było pominięcie przez Andrzeja Dudę w tegorocznym przemó-

wieniu rocznicowym nazwiska historycznego lidera „S” Lecha Wałęsy, hałaśliwie lansowanego od lat w mediach głównego nurtu. To gest tym odważniejszy, że kompletnie niezrozumiały dla świata, który od ponad trzech dekad tkwi w przekonaniu, że Wałęsa odegrał w rewolucji „S” kluczową rolę. Swoim wystąpieniem Andrzej Duda nie pozostawił wątpliwości, że jest to myślenie błędne i szalenie niesprawiedliwe.

Jarosław Kaczyński wielokrotnie Jarzucił rządowi PO, że prowadzi wobec Niemiec politykę na kolanach, dlatego dobrze, że prezydent Duda miał odwagę w Berlinie z tych kolan wstać i powiedzieć Niemcom prosto w oczy, w jak niesprawiedliwym kraju żyje. Wielu Polaków ma zresztą cichą nadzieję, że po pięciu latach jego prezydentury Polska będzie już krajem na tyle sprawiedliwym, że nie będzie potrzeby, aby Andrzej Duda dłużej pozostawał na swoim stanowisku.

DOROTA, KAROL

i Goście

Tu specjaliści,
gwiazdy i amatorzy
razem gotują,
rozmawiają,
uczą się
i dają przepisy
– a Lidl obniża
ceny produktów,
żeby każdy
mógł je wypróbować!

ZAPRASZAMY DO **TVP 1**

w **SOBOTE,**
o godz. 17¹⁵
w **NIEDZIELE,**
około 19⁵⁰

OD 12 WRZEŚNIA



**KUCHNIA
LIDLA.PL**



Ci Obcy

Zdesperowanych imigrantów nie powstrzyma żaden mur. Jeśli więc i tak tu dotrą, trzeba zrobić wszystko, aby mogli tu żyć. A my z nimi. Jak to zrobić?

ŁUKASZ WÓJCIK

W Europie – choć dziś brzmi to dziwnie – potrzeba imigrantów. Według Komisji Europejskiej, jeśli wkrótce nie przyjdzie ich znacznie więcej niż dotychczas, już w 2050 r. 28 proc. Europejczyków będzie miało na karku 65 lat lub więcej. A to oznacza, że statystycznie na jednego emeryta będą pracować nie cztery – jak dzisiaj, ale dwie osoby. Prawdziwy kryzys, wywołany głównie przez rozдутy system emerytalny, przyjdzie, gdy obecni politycy będą już dawno na emeryturze. Aby społeczny system zbudowany w Europie nie gruchnął, Europa będzie potrzebować (według prognoz Eurostatu) 42 mln nowych obywateli do 2020 r. i 257 mln do 2060. Dwieście pięćdziesiąt siedem milionów!

Europejczycy sami z tym sobie nie poradzą. Nie da się ich zmusić, aby mieli więcej dzieci (w tym przypadku „więcej” oznacza już nie troje, lecz nawet czworo). Jedynym wyjściem dla Europy byłaby więc imigracja. Do niedawna wydawało się to nierealne, aby skądś wziąć tylu zdesperowanych młodych

ludzi, gotowych do pracy, płacenia podatków, utrzymania stetryczających i często ksenofobicznych Europejczyków. Ale oni właśnie walą do nas drzwiami i oknami.

1 Centrum obecnego imigracyjnego cyklonu z Turcji i Grecji powoli przeszło przez Serbię. W ubiegłym tygodniu wiorowało na budapeszteńskim dworcu kolejowym Keleti. A stamtąd, po komplikacjach na Węgrzech, dotarło do Austrii i do Bawarii. Teraz zapewne będą sobie szukać nowego miejsca do życia w Niemczech. Europejskie rządy pozwoliły na tę ekspresową wędrówkę ludów. Ale problem nie zniknął.

Dzisiejszy kryzys imigracyjny wcale nie jest ekstraordynaryjny – jest nową normą, do której Europa musi się przystosować. Nie zniknęły przecież powody, dla których ci ludzie porzucili swoje domy w Syrii czy Iraku. W Turcji i Libanie nadal koczują prawie 3 mln uchodźców, którzy – jeśli tylko pojawi się taka sposobność – spakują manatki i ruszą do Europy.

Przy całym podziwie dla odwagi najpotężniejszej kobiety kontynentu kanclerz Angeli Merkel, która zaprosiła imigrantów do Niemiec, również ona nie ma jeszcze pomysłu, co z nimi dalej zrobić (czytaj s. 46). A wędrówka ludów na taką skalę, choć niesie ze sobą wiele zalet dla starzejącej się Europy, stanowi też ogromny problem. Jeśli w Unii Europejskiej szybko nie powstanie jednolity system legalizacji i asymilacji tych ludzi, kontynentowi grozi, że wkrótce jego nową najsilniejszą kobietą będzie przyszła prezydent Francji Marine Le Pen. Że znów znajdują się Obcy, którzy w oczach wielu Europejczyków będą odpowiadać za wszystkie ich bolączki, o czym skwapliwie zaświadczą kolejni populści. Po drugiej wojnie światowej Europa zaczęła się integrować, właśnie aby zapobiegać takim tendencjom. Dlatego obecny kryzys to najważniejszy test samej idei Unii Europejskiej.

2 Najbardziej przerażone perspektywą nowej wędrówki ludów wydają się kraje Europy Wschodniej, które jednocześnie są najmocniej narażone na efekty starzenia się populacji. Taka na przykład Słowacja w ciągu najbliższych trzech dekad będzie najszybciej starzejącym się społeczeństwem w Unii. Dziś ma zaledwie 14 proc. emerytów, ale już w 2050 r. będzie ich 31 proc. To samo Węgry: z 18 do 28 proc. Podobnie w Polsce.

Tak się składa, że we wszystkich tych państwach, które dotychczas skutecznie oganiały się od imigrantów, ksenofobia zaczyna być ważnym instrumentem wygrywania wyborów. Instrument to tani i prosty w użyciu. Na tym właśnie polega metoda Viktora Orbána. Jego ugrupowanie od miesięcy traciło poparcie na rzecz skrajnie prawicowego Jobbiku, więc premier Węgier gra teraz na ksenofobicznych emocjach swoich rodaków.

Jeszcze przed ostatnim kryzysem na dworcu Keleti w całym kraju zawisły plakaty z hasłami rzekomo skierowanymi do nowych przybyszów. Rząd uprzejmie prosił w nich o uszanowanie lokalnego prawa czy o nieodbieranie pracy Węgom. Tyle że prosił po węgiersku, więc prawdziwym adresatem byli Węgrzy. W końcu budowa płotu odgradzającego Węgry od Serbii sprawiła, że społeczeństwo wpadło w panikę, a wielu uznało działania rządu za konieczną ochronę narodowych interesów. Niedawne badania opinii publicznej wskazują, że już połowa Węgrów nie chce u siebie żadnych obcych.

3 Do tego stylu myślenia niebezpiecznie zbliżyła się premier Ewa Kopacz – szantażowana przez nasz własny Jobbik, czyli ksenofobiczne PiS. Świadczy o tym jej wyprawa do Pragi na piątkowy szczyt Grupy Wyszehradzkiej. Padła tam deklaracja, że Polska na żadne kwoty migracyjne się nie godzi, ale też sygnał, że rząd mimo to interesuje się kryzysem migracyjnym. W świat jednak poszło wspólne zdjęcie Kopacz z premierami Węgier i Słowacji, którzy z antyimigranckiej retoryki uczynili sztukę politycznego przetrwania.

Sam sprzeciw Polski wobec kwotowego systemu rozdziału imigrantów w Unii miałby sens, gdyby poszła za nim jakaś kontrpropozycja. Polska mogłaby na przykład zadeklarować, że przyjmie więcej imigrantów, niż dotychczas oficjalnie uzgodniono, zyskując w ten sposób kilka plusów w Berlinie oraz Paryżu i jednocześnie wytrącając argument z rąk zwolenników odgórnego rozdzielnika.

Ale przecież trwa kampania wyborcza. A wśród polskich elit politycznych dominuje stanowisko wprost wynikające z badań opinii publicznej – że imigracja to zło, przed którym trzeba się bronić. Według ostatniego sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej” 61 proc. Polaków nie przyjąłoby imigrantów w swoim domu, a wśród sposobów radzenia sobie z kryzysem migracyjnym Polacy wybraliby zamknięcie na głucho granic.

Politycy Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości przyjmują tę retorykę. Na jednym z ostatnich posiedzeń rządu premier Kopacz oznajmiła, że nie podejmie „żadnych działań, które zdestabilizowałyby życie Polaków”. Mniejsza o to, w jaki

sposób przyjazd 10 czy nawet 20 tys. imigrantów zdestabilizowałoby życie 38-milionowego społeczeństwa. Tej samej retoryki używa prezydent Andrzej Duda, mówiąc (nieprawdziwie) o „fali ukraińskich uchodźców” – w domyśle zalewającej Polskę. Problem w tym, że żaden polski polityk nawet nie próbuje tłumaczyć obywatelom, jakie korzyści może nieść ze sobą napływ imigrantów. I nie chodzi tu tylko o ograniczanie przyszłej dziury w ZUS.

Polska klasa rządząca jest więc przekonana o swojej politycznej racjonalności, ale nie bierze pod uwagę kosztów bycia europejskim „samolubem”, które trzeba będzie zapłacić już po wyborach 25 października. Pierwszy raz po przełomie 1989 r. tak wyraźnie rozchodzą się stanowiska polskie i niemieckie. W prasie za Odrą pełno jest zdziwienia wobec Polaków, którzy – sami tyle razy korzystając z cudzej, w tym niemieckiej, gościnności – teraz twierdzą, że imigranci to nie ich problem. I nie chodzi tu o to, aby Warszawa nagle zmieniła zdanie w sprawie przyjmowania imigrantów, choć przynajmniej o kompromis: Polakom zależy na sankcjach przeciwko Rosji, Niemcy nas popierają. Berlin próbuje powstrzymać obecny kryzys, Warszawa przynajmniej stara się być pomocna. Ale jak widać, tak się nie da. Unia Europejska jest dobra tylko wtedy, kiedy służy polskim interesom.

4 Z imigracją w Unii Europejskiej jest jak z niedokończoną budową unii gospodarczej – wszyscy jesteśmy w drodze. Z jednej strony od 30 lat działa układ z Schengen, który znosi kontrole graniczne między członkami wspólnoty. Od 12 lat obowiązują tzw. regulacje z Dublina, określające procedury rejestracji imigrantów w całej Unii (w pierwszym kraju, do którego trafili). Z drugiej strony każde państwo członkowskie samodzielnie prowadzi politykę migracyjną i azyłową. Na zasadzie analogii: w 19 krajach Unii obowiązuje ta sama waluta, ale każdy z nich ma własną politykę podatkową i budżetową. Z tego wziął się kryzys grecki. A teraz migracyjny.

Żadne państwo, w dłuższej perspektywie również Niemcy, nie poradzi sobie ze sprawą migrantów samodzielnie. Jeśli przyjąć, że Europejczycy nie chcą odbudowywać granic między sobą, potrzebna jest wspólna polityka migracyjna dla całej Unii. Tę ideę stara się przeforsować kanclerz Angela Merkel, proponując zasadę automatycznego rozdziału imigrantów między kraje Unii, tak jak to ma miejsce między niemieckimi landami. Tu jednak pojawia się problem, bo co zrobić z państwem, które nie zgadza się na automatyzm i kwoty (np. Polska)? Przegłosować? A w przypadku dalszego oporu wykluczyć ze strefy Schengen?

Kolejnym krokiem mogłaby być wspólna polityka azyłowa, czyli standaryzacja europejskich kryteriów przyznawania azylu uchodźcom z terenów wojen i konfliktów. Według coraz popularniejszego w Brukseli pomysłu procedura powinna się rozpoczynać jeszcze po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Nie tylko aby zaoszczędzić zdesperowanym ludziom niebezpiecznej podróży na łasce przemytników, ale również aby uniknąć kosztów ewentualnej deportacji w przypadku nieprzyznania azylu.

Odrębny pomysł potrzebny jest na imigrantów zarobkowych. W warunkach kryzysu humanitarnego, z którym zmagają się dzisiaj Europa, ich odróżnienie od uchodźców może być technicznie niemożliwe, ale długofalowo to właśnie pomyślna integracja tej grupy przybyszów może przynieść Europie największe korzyści. W tym przypadku Unia mogłaby podążyć amerykańskim śladem i stworzyć coś w rodzaju loterii o europejską zieloną kartę. Waszyngton rocznie rozdaje 50 tys. takich kart stałego pobytu, które pozwalają na podjęcie pracy. Zwycięzcy loterii muszą się najpierw zgłosić do amerykańskiej ambasady w swoim kraju, więc ostateczna zgoda jest wydawana, zanim jeszcze delikwent ruszy w drogę. Szczęśliwi posiadacze zielonej karty mogliby więc inwestować swoje oszczędności w biznes w Europie, a nie w miejsce na łodzi przemytników. ▶



3 mln uchodźców, koczujących dziś w Turcji i Libanie, może wkrótce ruszyć do Europy.

► Takie rozwiązanie miałyby też inną zaletę. Ponieważ dziś w praktyce jedyną legalną drogą osiedlenia się w Unii Europejskiej jest system azylowy, korzystają z niego masowo również imigranci zarobkowi z różnych rejonów Azji i Afryki (podając się często za Syryjczyków). W efekcie system jest sparaliżowany, bo nie jest w stanie rozpatrzyć takiej liczby wniosków. Jeśli Europa zaproponowałaby legalną drogę dla tej drugiej grupy, choćby w postaci loterii zielonych kart, zapewne udałoby się odblokować procedury azylowe, a to one, w kontekście wojen w Syrii, Iraku i Libii, powinny być dziś priorytetem z powodów humanitarnych.

5 Przy tak wielkich projektach politycznych niezbędna jest jednak szersza perspektywa. Od początku roku do Europy dotarło już prawie 300 tys. imigrantów. To więcej niż w całym 2014 r., ale jednocześnie to zaledwie jeden imigrant na 1700 obywateli Unii. To również nic w porównaniu z liczbą nowych imigrantów w dużo biedniejszych państwach, jak Turcja (1,7 mln na 78 mln obywateli; jeden imigrant na 46 Turków) czy Liban (jeden imigrant na czterech obywateli!). Państwa 510-milionowej Unii w czerwcu z bólem zaproponowały, że w sumie przyjmą nieco ponad 32 tys. uchodźców.

Konstruując nową politykę migracyjną dla Unii, warto też pamiętać, że na podróż do Europy decydują się często najbardziej obrotne jednostki, które raczej nie ryzykują takiej wyprawy tylko dla europejskiego socjału. Według danych UNHCR imigranci

na całym świecie częściej otwierają własne biznesy niż lokalsi, statystycznie rzadziej też dopuszczają się przestępstw i netto dołączają się do budżetów państw ich goszczących. Jak przekonuje tygodnik „The Economist”, nietrafione są też obawy, że imigranci odbiorą pracę tubylcom: ponieważ przyjeżdżają z własnymi pomysłami i umiejętnościami (przeciętny Niemiec nie założy etiopskiej restauracji), w sumie ich aktywność zawodowa podnosi lokalne płace, może z wyjątkiem tych najmniej zarabiających. Sami jednak imigranci najczęściej kilkakrotnie zwiększają swą produktywność.

Pozostaje oczywiście problem asymilacji kulturowej. Na gruncie europejskich wartości nie do obrony wydaje się argument, podnoszony również przez polskich polityków, że z Syrii czy Iraku powinniśmy przyjmować wyłącznie chrześcijan, bo są nam bliżsi kulturowo i lepiej się tu odnajdą. Pomijając już fakt, że chrześcijanom z Bliskiego Wschodu w sferze obyczajowej czy społecznej znacznie bliżej do muzułmanów niż do europejskich chrześcijan, jest to pusty i krętacki argument. Bo w takim razie, skąd opory w przyjmowaniu Ukraińców, w końcu prawie samych słowiańskich chrześcijan? Poza tym wszyscy zwolennicy chrześcijańskiej selekcji powinni sobie zadać pytanie: jak to się ma do ewangelicznych wartości?

Ważne stanowisko w tej sprawie zajął papież Franciszek. W niedzielę zaapelował on „do każdej parafii, do każdej wspólnoty, klasztoru, do każdego sanktuarium” o przyjęcie co najmniej jednej rodziny imigrantów, bez względu na ich wiarę. Sam Watykan ma przyjąć dwie takie rodziny. Na tym tle rodzi się zresztą w Europie głęboki konflikt między starymi sojusznikami: hierarchami Kościoła katolickiego i prawicowymi politykami. Prawica w wielu krajach Europy (także w Polsce) tradycyjnie już robi sobie z chrześcijaństwa oręż polityczny i alarmuje o zbliżającej się zagładzie chrześcijańskiej Europy, której jakoby nie dostrzega nawet Franciszek.

6 Nie oznacza to, że problem asymilacji nie istnieje. Łatwo go zobaczyć na przedmieściach francuskich miast, gdzie młodzi potomkowie imigrantów, na ogół muzułmanie, dzięki opiece państwa funkcjonują w społecznej dziurze, bez motywacji do zmiany swojego statusu. To również z klęską asymilacji słusznie wiąże się w Europie wzrost zagrożenia terrorystycznego.

Najgorszym jednak rozwiązaniem jest wpuszczenie tych ludzi do Europy, aby nadal ich tu izolować. Wiele państw europejskich z takimi liberalnymi twierdzami, jak Wielka Brytania i Szwecja na czele, często przyjmuje azylantów, aby później przetrzymywać ich w obozach dla uchodźców i zakazywać im pracy. To system – relik z czasów zimnej wojny.

Jeśli jest jeden sposób, aby ci ludzie wtopili się (choć nie roztopili) w społeczeństwo, to jest nim pozwolenie na pracę. Żaden program socjalny, edukacja czy kieszonkowe od państwa nie zapewnią tego, czego nauczą się migranci, pracując pośród tubylców. Zapracowani imigranci nie będą mieli czasu na „społeczne włóczęgostwo” – islamisci nie zdążą im wmówić, że są ofiarami systemu, który trzeba zniszczyć. W pracy poznają lokalne zwyczaje i normy, a miejscowi poznają ich. Ludzie poznają ludzi, a chyba o to w końcu chodzi w integracji.

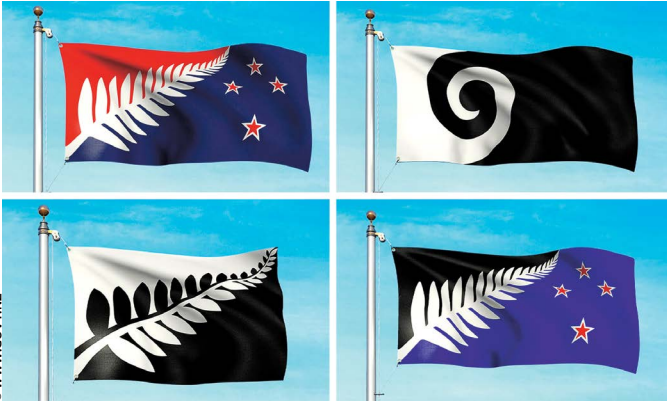
Przeciwnicy takiego rozwiązania powinni pamiętać, że rynek pracy to nie jest gra o sumie zero. Wpuszczenie na ten rynek, dajmy na to, 100 tys. imigrantów nie odbierze tutejszym 100 tys. miejsc pracy. Ci nowi pracujący też mają potrzeby, też pobudzają popyt, będą płacić podatki, składki emerytalne, znajdą zatrudnienie jako opiekunowie seniorów, czym nie chcą już się zajmować Europejczycy. Itp., itd. Jak to się działo w Europie od setek lat.

Pozwolenie na pracę to nie jest cudowny środek, który wszystko załatwi. Ale nic lepszego pod ręką nie mamy.

ŁUKASZ WÓJCIK

WSPÓLPRACA RAFAŁ JAS Z BUDAPESTU

Nowa Zelandia z liściem paproci?



Nowozelandczycy też będą mieli referendum, a nawet dwa, oba w kwestii flagi narodowej. Rząd właśnie ogłosił cztery finałowe propozycje nowej flagi, z których obywatela w listopadzie wybiorą tę, która im najbardziej przypadnie do gustu. A w marcu nowa flaga zmierzy się w referendum z dotychczasową. Nowa Zelandia chce zmienić flagę przynajmniej z dwóch powodów: bo jej elementem jest wciąż brytyjski Union Jack, a przez to jest bardzo podobna do flagi australijskiej i często z nią mylona. Kraj wielu sukcesów i osiągnięć, nie tylko w rugby i produkcji białego wina, uznał, że powinien mieć swoją, wyrażoną poprzez flagę, odrębność i osobowość. Nowozelandczyków zachęcił też przykład Kanady, której czerwony liść klonu, umieszczony na fadzie w 1965 r., zapewnił genialną rozpoznawalność na świecie. Tutaj podążono podobnym tropem: sięgając po faworyzowany liść paproci, który skądinąd świetnie się sprawdził jako emblemat narodowej drużyny rugby. Konkurentem jest roślinny, maoryski motyw koru, symbolu pokoju.

Koszerne smartfony

Ultraortodoksyjni rabinowie walczą ze smartfonami, a właściwie z aplikacjami takimi jak choćby WhatsApp, gdzie można plotkować i udostępniać zdjęcia oraz filmy. Oficjalnie smarfonów z aplikacjami używać nie wolno, za niesubordynację grozi np. zakaz pracy we wspólnych instytucjach, a dla osób, które mają dzieci, wyrzucenie ich z ultraortodoksyj-

nich szkół. W Izraelu żyje ponad 400 tys. ultraortodoksyjnych żydów, a siła nabywczą tej grupy jest na tyle duża, że operatorzy telefonii komórkowej zgodzili się wypuścić koszerne smartfony i poddać je kontroli rabinów. Aparaty nie mają „niebezpiecznych” aplikacji, a żeby było wiadomo, że wierni korzystają z właściwych smartfonów, te koszerne mają własną grupę numerów telefonicznych i charakterystyczny dzwonek.

Wcześniej rabinowie walczyli z telewizorami i gazetami. Ale to było znacznie prostsze, bo odbiorniki były duże i wymagały zamontowania na dachu anteny, trudno je więc było ukryć. Świeckie gazety można było dostać jedynie poza dzielnicami ortodoksów i trzeba je było czytać po kryjomu. Miejsce zawsze były cenzurowane i objęte nadzorem rabinów. Podobnie jak pierwsze komputery, których najpierw zabraniano całkowicie, a z czasem zakaz obejmował tylko dostęp do internetu. Przez lata udawało się rabinom utrzymać kontrolę. I dopiero mobilne urządzenia stały się zbyt mocnym przeciwnikiem. Młodzi często mają drugi smartfon, do kontaktów ze światem zewnętrznym.



© EAST NEWS

Połączone siły słowiańskiego braterstwa



© EAST NEWS

Na poligonie Rajewski, koło Noworosyjska w regionie Krasnodarskim (a więc całkiem niedaleko Krymu), armia rosyjska przez pięć dni przeprowadzała nietypowe międzynarodowe manewry pod kryptonimem „Słowiańskie braterstwo”. Z udziałem 700 żołnierzy, 100 czołgów i 20 samolotów oraz helikopterów. Nietypowe, bo razem z jednostkami białoruskimi i serbskimi ćwiczone walki miejskie, starcia z demonstrantami i rozbijanie barykad. Rosyjskie ministerstwo obrony wyjaśnia, że udział armii jest tu niezbędny, bo „kolorowe rewolucje przybierają coraz bardziej charakter walk zbrojnych i prowadzone są według reguł sztuki wojennej”. Klasycznym przykładem takich działań, zdaniem ministerstwa, są ubiegłoroczne wydarzenia na kijowskim Majdanie, które obaliły prezydenta Janukowycza. A nikt nie lubi być zaskakiwany: ani w Moskwie, ani w Mińsku, ani w Belgradzie.

Niemiec ma pracę

Wraz z wielką operacją humanitarną przygarniania syryjskich uchodźców zbiegło się w czasie ogłoszenie najnowszych informacji dotyczących sytuacji na niemieckim rynku pracy. Otóż jest ona najlepsza od 24 lat. Bezrobocie w sierpniu spadło do 6,4 proc., nie spełniły się więc prognozy, że wprowadzenie płacy minimalnej – 8,5 euro za godzinę – pogorszy wyniki. W branży hotelarskiej i gastronomicznej, która miała ucierpieć najbardziej, liczba zatrudnionych wzrosła o 5,7 proc. Zmniejszyła się za to liczba umów o pracę w niepełnym wymiarze czasowym i umów śmieciowych, co prawda tylko



© REUTERS/FORUM

o 1,7 proc., ale zawsze. Jedyną złą wiadomością w tym zestawieniu: 15 proc. kobiet, które pracują poniżej 20 godzin tygodniowo, a które chciałyby przejść na pełen etat, nie znajduje takiej oferty.

Nowe zasady publikowania komentarzy w serwisie internetowym



POLITYKA.PL strefa wolna od hejtu!

Szanowni Czytelnicy, Drodzy Użytkownicy naszego Serwisu!

Od wielu lat udostępniamy Państwu nasze forum internetowe oraz przestrzeń blogową dla Waszych komentarzy – także tych krytycznych. Jesteśmy wdzięczni za wszystkie, które są merytoryczne. Zależy nam bardzo, aby Państwa

wpisy nie utonęły w rosnącej fali internetowej hejtu i niechlujstwa. Warto, aby serwis POLITYKA.PL pozostał miejscem wartościowej wymiany poglądów, gdzie toczą się dyskusje, nawet zażarte, ale pozbawione mowy nienawiści. Zależy nam na tym, abyśmy wzajemnie traktowali się z szacunkiem. Chcemy, aby POLITYKA.PL była miejscem wolnym od radykalizmów i anonimowej, bezsensownej brutalności. Takie wpisy chcemy promować, zamierzamy natomiast usuwać wszystkie te, które:

- Zawierają groźby, treści wulgarne, obsceniczne, nienawistne, agresywne, dyskryminujące i inne tego rodzaju.
- Obrażają i deprecjonują inne osoby ze względu na ich pochodzenie, wykonywany zawód, przekonania, wyznanie, światopogląd, wiek, płęć czy orientację seksualną.
- Dotykają prywatności innych osób, naruszają ich godność, dobra osobiste, prawa autorskie i inne dobra prawem chronione.
- Zawierają oskarżenia, które nie są podparte dowodami w postaci ustaleń prokuratury czy wyroków sądów.
- Są niezgodne z obowiązującym prawem, zasadami współzycia społecznego i dobrymi obyczajami.
- Zawierają wiadomości z prywatnymi adresami poczty elektronicznej, danymi osobowymi i teleadresowymi innych osób.
- Są nie na temat, tzn. nie odnoszą się do tematu artykułu/wpisu blogowego lub poruszanych w nim wątków.
- Zawierają materiały i linki reklamowe lub są „łańcuszkami szczęścia”.

Słowem, wprowadzamy surowszą moderację, ale wciąż serdecznie zapraszamy do dyskusji, do wyrażania opinii, ocen, do polemik, ale w formie przyjętej między kulturalnymi ludźmi. Kto chce się wyżyć – zapraszamy na inne portale. Być może to walka z wiatrakami, ale spróbujemy. Mamy dość językowych i emocjonalnych śmieci zasypujących plac wolności, jakim miał być i może być internet.

Jan Koza



Mazowiecki jakiego nie znacie

Prawie wszyscy byli zaskoczeni, kiedy premier oznajmiła, że zaprosiła na listy PO Ludwika Dorna, Grzegorza Napieralskiego i Michała Mazowieckiego. Dwaj pierwsi to już weterani polskiej polityki, a o tym ostatnim wiadomo niewiele. **Michał Mazowiecki**, syn pierwszego niekomunistycznego premiera, wystartuje z ostatniego miejsca na warszawskiej liście PO. Zaprzy-

żnięci z rodziną Mazowieckich byli mocno zaskoczeni, że to właśnie najmłodszy z trzech synów premiera postanowił zaangażować się w politykę.

– *Michał nie interesował się szczególnie polityką. Może wzięło się to stąd, że był najbardziej związany z ojcem – zastanawia się znajomy rodziny. Tej bliskości z ojcem sprzyjał pewnie fakt, że wcześniej umarła jego matka. Miał wtedy trzy lata.*

– *Tadeusz był dla Michała, właściwie do końca, takim opiekunem życiowym – wspomina przyjaciel byłego premiera. Andrzej Brzeziecki, autor biografii Tadeusza Mazowieckiego, tak pisze o pierwszych trudnych latach po śmierci żony premiera Ewy: „Gdy Michał miał pięć albo sześć lat, za radą znajomych umieścił najmłodszego syna w ośrodku w Świdrze z nadzieją, że będzie tam pod lepszą opieką i obserwacją niż u samotnego ojca. – To był niewypał – mówił Brzezieckiemu Michał Mazowiecki. – (...) Ojciec przyznał potem, że to była pomyłka”.*

Wdomu Mazowieckiego polityka działa się każdego dnia. Jak mówił Brzezieckiemu jeden z synów, ojciec nie tylko nie zabraniał im udziału w rozmowach z politycznymi gośćmi, ale wręcz do nich zachęcał. Dbał o to, by synowie mieli kontakt z nietuzinkowymi ludźmi. Kiedy Mazowiecki siedział w obozie dla internowanych w Jaworzu, najmłodszy syn wspomina, że jeździł do niego z Koszalina (mieszkał tam kilka miesięcy pod opieką rodziny) wiele godzin pociągiem, aby pobyć z ojcem chociaż godzinę. To Michał odebrał telefon ze szpitala z wiadomością o śmierci ojca. Przyjaciel Tadeusza Mazowieckiego: – *Michał bardzo przeżył jego śmierć i może dlatego postanowił, lojalnie wobec ojca, poświęcić się polityce.*

W Platformie słyszymy, że jako kandydata wymyślił go szef warszawskich struktur Andrzej Halicki. – *Michał Mazowiecki niesie ze sobą ważne dziedzictwo. Do tej pory nie angażował się bezpośrednio w politykę, ale jest synem symbolicznej postaci, był blisko najważniejszych dla Polski zdarzeń i ludzi. Michał Mazowiecki utrzymywał się m.in. z pracy kierowcy w Trybunale Konstytucyjnym, a teraz pracuje w dziale administracyjnym Naczelnego Sądu Administracyjnego. (DAB.)*

© SŁAWOMIR KAMINSKI/AGENCJA GAZETA

Dwaj prezydenci, dwie porażki

Daliśmy radę dwóm referendum! Z jednym bezlitośnie poradzili sobie obywatele nadzwyczaj słabo zainteresowani udaniem się do urn, z drugim szczęśliwie uporali się senatorowie Platformy wspierani przez niezależnych. Nie przestraszyli się szefowej kancelarii prezydenta Dudy minister Małgorzaty Sadurskiej, powtarzającej mantrę o 6 mln zignorowanych podpisów obywateli, ani Piotra Dudy z Solidarności, zapowiadającego „rozliczenie” tych, co przeciw głosowi ludu. Senat zgody na prezydencką inicjatywę nie wyraził i październikowe wybory będą po prostu wyborami. Tak oto upadły dwa pomysły zrodzone nie ze społecznej potrzeby czy szacunku dla obywateli, ale wyłącznie z politycznych kalkulacji. Czy dwaj prezydenci, byli i obecny, wspólnym wysiłkiem pogrzebali inicjatywy referendalne także na przyszłość? Być może. W każdym razie pogrzebali je w takim kształcie, jaki zaproponowali, z bezsensownymi, niejasnymi pytaniami, organizowane w niesprecyzowanych, nieprzemyślanych uwarunkowaniach prawnych (wątpliwości dotyczące finansowania, odpowiedzialności za kształt kampanii, która zwłaszcza w mediach publicznych była żenująca). Ustawa o referendum ogólnokrajowym nadaje się do zasadniczych poprawek, a politycy powinni kilka razy pomyśleć, nim kolejne referenda zarządzają. Totalna absencja przy urnach jest surową odprawą dla politycznych manipulacji.

Politycznie nikt się nie wzbogacił. Referendum z 6 września miało być prezentem dla Kukiza, pomóc mu zorganizować struktury ruchu przed wyborami. Ten najwyraźniej jednak prezentów nie lubi i kapitału nie zbierał. Zamiast spróbować coś zbudować, pokazał lekcję bezprecedensowej destrukcji. Pod koniec tygodnia internetowe portale obieły zdjęcia pokazujące, jak to było kiedyś, kiedy widowiskowe hale wypełnione były szczerze entuzjastami muzyka, i to, co jest teraz. Smutek pustych trybun, Kukiz z mikrofonem na scenie i kilkanaście osób na sali. Niektórzy doliczyli się trzydziestki.

Platforma markowała, że jakąś kampanię prowadzi, PiS nawet nie próbowało, skupiło się na obronie swojego referendum, które miało pogrzebać ostatecznie PO. Lewica prowadziła słabo widoczną akcję, bo generalnie jest słaba. Ludowcy uznali, że referendum to wyrzucanie pieniędzy, co być może okazało się stanowiskiem najbardziej słusznym. Pretensje o wydane pieniądze kierowane będą jednak do Platformy,



która zgodziła się na desperacki pomysł prezydenta Komorowskiego. Ale wielkiego wyboru też chyba nie miała. Nie mogła opuścić swojego kandydata. Tak więc osieroczone referendum w kampanii już tylko konało, a głosowanie przyniosło ostateczną kompromitację. Jakaś jej część jest skazą na wizerunku PO.

Ożywił się natomiast Senat. To dobry okres drugiej izby parlamentu – najpierw, wbrew obawom o zbyt konserwatywny Senat, wybrano Adama Bodnara, ponoć zbyt lewicowo-liberalnego na rzeczniczkę praw obywatelskich, potem nie zgodzono się na referendum i wreszcie przywrócono pierwotny, rządowy kształt ustawy o pomocy frankowiczom. Ta i tak zapewne odepdzie w niepamięć, gdyż Sejm nie zdąży rozpatrzyć poprawek Senatu. Złoty się umocnił. Tym samym ostatnie „dzieło” SLD, partii Leszka Millera, a więc polityka doświadczonego, który poczuł nagłą awersję do złych bankierów (wspomnienie z czasów, gdy kandydował z list Samoobrony?), pozostanie już tylko w katalogu tych politycznych zachowań, które można skwitować frazą: po nas choćby potop.

Po wiadomościach dobrych są i złe. Niestety, po raz kolejny nie daliśmy rady obchodom sierpniowej rocznicy. Wiele lat temu można je było uczynić obchodami państwowymi, a nie oddawać związkowi zawodowemu od dawna uwiązanemu do PiS. A tak, jak co roku, byliśmy świadkami wystąpień głównie antyrządowych, teraz dodatkowo okraszonych składaniem hołdów nowemu prezydentowi, którego wiedza o sierpniowych strajkach jest raczej ograniczona. Nic nie wie o roli Lecha Wałęsy, a w każdym razie udało mu się nie wymienić jego nazwiska. Być może najśluszniej postąpił więc sam Wałęsa, który po prostu wyjechał, by w żadnych tego typu imprezach nie uczestniczyć. Tymczasem w tym roku związek Solidarność miał wprost wyjątkową szansę, aby przy okazji obchodów zaistnieć nie tylko w kraju, ale też w Europie.

Gdyby Piotr Duda, zamiast radzić pani premier Kopacz udanie się do psychologa, sam poszedł po rozum do głowy, mógłby na przykład wygłosić apel do rządzących o pomoc dla uchodźców zalewających Europę. Wpisałby się tym samym w europejski problem numer jeden. Dał sygnał, że z solidarnością, tą przez duże i przez małe „s”, ma jednak coś wspólnego, że przejął chociaż część rzeczywistego dziedzictwa tamtego ruchu, odwołującego się do podstawowych wartości. I że pamięta o pomocy, jakiej Solidarności kiedyś udzielono. To nie wymagało wielkiej odwagi, tylko wyczucia chwili i rezygnacji na moment z politykierstwa.

Bo dziś głównie politycy prowadzą żenującą debatę, czy stać nas na 2 tys. uchodźców, czy nie zagrożą oni naszemu bezpieczeństwu, a być może także chrześcijańskiej tożsamości. Być może to jedyna sprawa, która łączy całą klasę polityczną, przestraszoną przed wyborami, że powie coś, co się wyborcy nie spodoba. Piotra Dudę musieli wyręczyć liderzy pierwszej Solidarności, którzy wystąpili z apelem o prawdziwą solidarność z uchodźcami.

Nie wiadomo, czy obecny przewodniczący związku ten apel usłyszał, gdyż akurat był zajęty pod Senatem głośną obroną referendum prezydenta Dudy. (Oraz żenującą i wulgarną samoobroną przed sformułowanymi w „Newsweeku” zarzutami o nadużywanie przez Piotra Dudę związkowych luksusów wczasowych).

Te dwie postawy znakomicie pokazują przepaść, jaka dzieli tę pierwszą – prawdziwą Solidarność – od obecnego związku zawodowego, który mieni się spadkobiercą wielkiego ruchu, a w istocie zaprzecza jego tradycjom.

Referendum zamyka czas przygotowań do wyborów. Zaczęła się ostatnia prosta. Do połowy września trzeba zarejestrować listy kandydatów. Zamknęła je Platforma Obywatelska, przyjmując do swego grona Ludwika Dorna, kiedyś trzeciego bliźniaka braci Kaczyńskich, i popierając do Senatu Grzegorza Napieralskiego, niegdyś szefa SLD. Może efektowne, ale politycznie raczej mało wydajne, choć Dorn w Sejmie to gwarancja niezmarowania mandatu. Uznać za gest polityczny czy raczej towarzyski? Trudno przesądzić. Gdyby Platformie udało się porozumieć z Nowoczesną Ryszarda Petru i stworzyć wspólne listy, byłoby to zapewne istotne wydarzenie polityczne. Do tego nie doszło, co jest porażką obu stron. Petru głosów trochę zabierze, sam wiele nie zwojuje, pozbawi jednak PO kilkunastu mandatów i być może utworze drogę do władzy partii Jarosława Kaczyńskiego. Na dziś to najbardziej prawdopodobny scenariusz, ale prawdziwa przedwyborcza gra dopiero się zaczyna.

Koncertowa wtopa

Referendum w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych okazało się wielkim niewypałem. Do urn poszło 7,8 proc. uprawnionych, najmniej w historii ogólnopolskich plebiscytów. To przegrana byłego prezydenta, ale przede wszystkim Pawła Kukiza.

WOJCIECH SZACKI

Przez atak paniki Bronisława Komorowskiego po przegranej pierwszej turze wyborów prezydenckich 100 mln zł poszło w błoto, ale to nie znaczy, że plebiscyt nie wpłynął na kampanię wyborczą. Z niewygodnej sytuacji obronną ręką wyszło PiS, które wciąż niezagrożone prowadzi w sondażach. Stanowisko tego ugrupowania w sprawie JOW i finansowania partii z budżetu było wprawdzie w kontrze do poglądów większości, ale PiS – z wydatną pomocą Andrzeja Dudy – udawało, że żadnego referendum nie ma. Zamiast o głosowaniu istniejącym, PiS mówiło o hipotetycznym, w sprawach dla siebie wygodniejszych: o obniżeniu wieku emerytalnego, posyłaniu sześciolatków do szkół i prywatyzacji lasów.

Takie głosowanie zaproponował na 25 października prezydent Duda, na co potem nie zgodził się Senat. Prosty zabieg okazał się skuteczny, choć bardziej skorzystało na tym PiS niż prezydent, który wystąpił w roli partyjnego działacza, a nie głowy państwa.

Platforma kampanię referendalną raczej odbębniła, niż przeprowadziła. Nieliczne billboardy miały wzmoczyć polaryzację PO–PiS, bo PO eksponowała różnice zdań z partią Kaczyńskiego w sprawie JOW i subwencji, ale na koniec dnia to PO okazała się odpowiedzialna za kompletnie bezsensowne i drogie referendum.

Głównym przegranym batalii referendalnej jest jednak Paweł Kukiz, dla którego plebiscyt miał być pomostem między kampanią prezydencką i parlamentarną, a okazał się czarną dziurą. Kukiz, fanatyk JOW, rzucił na front referendalny wszystkie siły, ale na próżno. W referendum wzięło udział mniej osób niż w maju głosowało na Kukiza. Katastroficznie niska frekwencja pokazuje, że emocje społeczne wokół rockmana gasną, a paliwa w baku może mu nie wystarczyć do wyborów parlamentarnych.

Jeszcze w czerwcu miał w sondażach ponad 20 proc. poparcia, a okazjonalnie wyprzedzał nawet Platformę. Na początku września spadł poniżej 10 proc., a zdarza się, że ląduje w okolicy proggu wyborczego.

Na wykresach pokazujących zainteresowanie Kukizem w internecie też widać olbrzymie spadki – jest wpisywany do wyszukiwarki 25 razy rzadziej niż w szczycie kampanii prezydenckiej. Chłodniej zrobiło się nawet na jego profilu na Facebooku: w maju jego wpisy zbierały po 6–8 tys. polubień, teraz ledwie kilkaset.

Co się stało, że rockman tak koncertowo zawałił sprawę? Jego kampania prezydencka była sensacją roku, parlamentarna to jedna z fuszerek dekady – a wybory te dzieli raptem pół roku. Referendum, które mało kogo obeszło, to tylko mały fragment gruzów, w które obrócił się ruch Kukiza.

Nikt nie oczekiwał, że rockman utrzyma 20 proc. poparcia z wyborów prezydenckich aż do 25 października. Kampania par-

lamentarna to inna dyscyplina. Nawet powstająca niegdyś Platforma Obywatelska – choć miała znacznie lepiej zorganizowaną strukturę niż Kukiz' 15 – osiągnęła w 2001 r. wynik słabszy niż rok wcześniej jej współzałożyciel – Andrzej Olechowski.

Kilka miesięcy temu Kukiz jako kandydat na prezydenta był wyborem bezpiecznym, bo w jego zwycięstwo nikt nie wierzył. Można było postawić przy nim krzyżyk na złość Bronisławowi Komorowskiemu, Platformie, wszystkim starym partiom i opartym politykom. Nikt go przy tym specjalnie nie atakował, dla Andrzeja Dudy zaistnienie Kukiza było wręcz błogosławieństwem, bo bez niego by nie wygrał. Kukiz jako kandydat na posła to już inna bajka. Zaczynają się pytania o program i ludzi na listach, zaczyna się ostra konkurencja z rywalkami.

Inna natura wyborów parlamentarnych, które dla nowych ugrupowań stanowią wyzwanie większe niż dla zasiadających i bogatych dzięki subwencjom partii, tłumaczy po części zapaść u Kukiza. Resztę strat zawdzięcza jednak sobie.

Rozłam za rozłamem

Ze sztabowców Kukiza z kampanii prezydenckiej nie został przy nim już nikt. Ostatni spakował się rzecznik prasowy Miłosz Łodowski, który na pożegnanie w liście do piosenkarza napisał, że projekt, w który wierzył, „miał być stworzony przez najwartościowszych młodych antysystemowców”, a „przerodził się w groteskę, ze sporami na podobnym poziomie patologii co w najgorszych partiach”.

Łodowski zdiagnozował, że „proces podejmowania decyzji i odpowiedzialności za nie jest nietransparentny i niezrozumiały. Przez wiele miesięcy prosiłem, błagałem, zносиłem to, jak nazywaliście wszystkie moje fachowe uwagi histeryzowaniem”. Były już rzecznik podsumował swoją rolę krótko: „Byłem cywilizowaną twarzą chaosu”.

Kukiz odpowiedział lakonicznie w wywiadzie dla wp.pl, że Łodowski nie wytrzymał tempa kampanii. Ale inni wytrzymali jeszcze krócej. Zaczęło się od zakończonych fiaskiem rozmów z Januszem Korwin-Mikkem, który po wyborach prezydenckich miał bardzo słabe karty w porównaniu z triumfującym Kukizem. – *Daliśmy sobie tydzień na negocjacje. Spo-*

© PAP/MACIEJ KULCZYŃSKI





tkanie w domu właściciela browaru Ciechan Marka Jakubiaka z udziałem Kukiza i Korwin-Mikkego skończyło się kłótnią o jednomandatowe okręgi wyborcze. Gdy Korwin-Mikke pozwolił sobie na żarty w tym temacie, Kukiz oświadczył, że oczekuje żarliwej wiary w JOW, i było po negocjacjach – opowiada Przemysław Wipler z partii KORWiN.

Potem – choć w gąszczu rozłamów można się zgubić – Kukiz wygonił ze swego ruchu Bezpartyjnych Samorządowców, którzy stali za jego kampanią prezydencką. Na Facebooku zaatakował prezydenta Lubina Roberta Raczyńskiego, który był najbardziej wpływową postacią z tego kręgu. Wówczas odszedł także rzecznik Kukiza w wyborach prezydenckich Patryk Hałaczkiwicz.

Wiarę w rockmana Hałaczkiwicz stracił już na początku czerwca, gdy wziął udział w politycznej debacie w warszawskim klubie Hybrydy. Rockman ostro go skrytykował i wydał polecenie, by przestał pojawiać się w mediach.

– Pawłowi najbardziej zaszkodziła nieumiejętność postępowania z ludźmi. Nie ufał najbliższym współpracownikom, uwierzył, że to, co osiągnął, zawdzięcza tylko sobie. A jego nowe otoczenie tworzą ludzie o skrajnych poglądach, którzy zrażają centrowych wyborców – uważa Hałaczkiwicz.

Kukiz nie chciał aliansu z warszawskim radnym o ponadwarszawskich ambicjach Piotrem Guzialem, a następnie skłócił się z szeregiem polityków, którzy mieli kandydować z jego list: narodowcem i niedawnym kandydatem na prezydenta Mariąnem Kowalskim, działaczami Nowej Prawicy, byłym posłem LPR Krzysztofem Bosakiem. Zmiany były dynamiczne, dość powiedzieć, że ledwie Kukiz ogłosił pod koniec sierpnia 41 liderów list wyborczych, to już na początku września siedemnastu było do zmiany.

Rozłamom towarzyszy bałagan organizacyjny. – Łudził się, że może budować organizację bez organizacji i struktury bez struktur. Nie chciał stworzyć normalnej partii, tylko „byt polityczny”. A tak się nie da – ocenia Wipler. – Zachowywał się poza tym jak facet, który randkuje z czterema dziewczynami naraz; co chwila komuś innemu obiecywał tę samą jedynkę na liście. Pogubił się też organizacyjnie, za późno zbudował listy wyborcze, przez co przedłużyły się konflikty wewnętrzne – dodaje Wipler.

Wokół rockmana zrobiło się tak pusto, że nie ma komu zorganizować spotkań. W sieci krążyło zdjęcie ilustrujące te kłopoty – na niedawnym spotkaniu z sympatykami słuchała go garstka, a nie pełen entuzjazmu tłum.

Polityka w karykaturze

Kukiz już dawno zapowiedział, że nie pokaże programu wyborczego, bo programy to oszustwo. Dopytywany o konkretne pomysły gubi się; w wywiadzie dla TV Republiki na pytanie o politykę zagraniczną odparł, że polityka zagraniczna to niedopuszczenie do sprzedaży polskiej ziemi cudzoziemcom.

Na pytania, jak zachowają się jego posłowie w konkretnych sprawach, odpowiada, że zostawi im wolną rękę, a ich głównym i w gruncie rzeczy jedynym zadaniem jest zmiana konstytucji i wprowadzenie JOW. Które, jak wiemy dzięki referendum, nie budzą specjalnych społecznych emocji.

Trudno wszakże, by Kukiz'15 miał jakiś program, bo próżno szukać wspólnego mianownika dla wystawianych przez niego kandydatów – na listach są narodowcy, wszechpolacy, związkowcy, socjaliści i liberałowie. Sam Kukiz jest za legalizacją związków partnerskich, a jedynką w Płocku jest wspomniany już Jakubiak, właściciel browaru bojkotowanego przez niektóre puby za homofobiczną wypowiedź.

Nowe otoczenie Kukiza nie przysparza mu wyborców, a część dotychczasowych wręcz odrzuca. Sam rockman też jest postrzegany inaczej niż w kampanii prezydenckiej, gdy miał pewną taryfę ulgową – przychylnie traktowały go media propisowskie, a i w tzw. mainstreamowych był opisywany jako autentyczny i obdarzony charyzmą trybun ludowy. Teraz już wszystkie media zgodnie piszą o jego upadku, błędach, a Kukiz nie zostaje dłużny. „Ciołek”, „funkcjonariuszka Kraśki”, „pismaki tuczone zagraniczną kasą”, „najemnicy niemieckich mediów” – tak pisze o dziennikarzach na swym profilu. Najdalej poszedł we wspierającej PiS TV Republika, gdzie – zdaniem pracowników tej stacji – wulgarnie znieważył prowadzącą z nim wywiad, a wcześniej obrażony przerwał rozmowę.

Jeśli to wszystko złożyć w całość, wychodzi na to, że ugrupowanie Kukiza ma wszelkie wady partii, nie posiadając ich zalet. Jest wodzowskie, obfituje w konflikty, rozłamy, walki frakcyjne. Nie ma za to wypracowanych procedur, zdolności organizacyjnych, ustalonej hierarchii. Taka karykatura partii.

Co po Kukizie

W połowie września będzie wiadomo, czy Kukiz'15 zdołał zarejestrować listy wyborcze – w co najmniej 21 okręgach trzeba donieść po pięć tysięcy podpisów. Byli stronnicy muzyka uważają, że zapas organizacji oraz konflikty wewnętrzne mogą to uniemożliwić. A nawet jeśli uda się zarejestrować listy, to przy obecnym spadkowym trendzie trudno będzie liczyć na przekroczenie prognozy wyborczego.

W skali mikro mogą na tym skorzystać byli współpracownicy Kukiza, którzy tworzą komitet JOW Bezpartyjni (jeśli sami się zarejestrują), KORWiN (który planuje kampanię opartą na niechęci do uchodźców), a nawet Ryszard Petru jako reprezentant nowej partii na scenie.

Część wyborców Kukiza wróci być może do Platformy, ale na upadku rockmana w skali makro najwięcej może zyskać PiS. Piosenkarz – jeszcze niedawno typowany na koalicjanta PiS – zabrał bowiem w maju wielu wyborców Komorowskiemu, ale w drugiej turze zwolennicy Kukiza w większości poparli Dudę. Kukiz okazał się buforem, przez który dawni wyborcy Platformy przechodzą do PiS, a nie zrobiliby tego bezpośrednio z powodu kulturowych oporów.

Podobnie może być teraz. Wakacyjne spadki sondażowe ruchu Kukiza zbiegły się ze wzrostem partii Kaczyńskiego. Niewykluczone zatem, że wraz z upadkiem Kukiza PiS traci potencjalnego koalicjanta, ale zyskuje za to samodzielną większość. ■

Jego świątobliwość prezydent

Na prawicy Andrzeja Dudę zaczyna otaczać parareligijny kult. Dla PiS to bardzo pomocne w kampanii parlamentarnej, a dla samego Dudy to pewnie przyjemne, może trochę krępujące, ale na pewno politycznie niebezpieczne.

MALWINA DZIEDZIC, MARIUSZ JANICKI



Atmosfera podczas lokalnych spotkań z prezydentem Dudą przypomina tę towarzyszącą adoracjom cudownego obrazu. Uniesienie, wzruszenie, bezgraniczna nadzieja. Ludzie wierzą, że „młody prezydent” sprawi, że będzie żyło się lepiej – „nam”. Bo złej sytuacji winni są „oni” – czyli „te łajzy i złodzieje” oraz wszyscy ci, którzy ich wspierają: manipulują i pokazują, że w Polsce nie jest najgorzej. No, bo „zwykły człowiek ma źle”. Nędznie zarabia, musi pracować „do śmierci” i jeszcze „państwo go okrada”. Przychodzi więc na spotkania z prezydentem nie tylko z ciekawością, ale też z litanią postulatów. I ufa, że „Andrzej Duda odmieni Polskę”. Żaden z wcześniejszych prezydentów nie doznawał takiego wyniesienia.

Znana dotychczas głównie z maryjnego repertuaru polonijna pieśniarka Emilia Golaszewska jeszcze w czasie kampanii prezydenckiej śpiewała: „Pośród waśni, zamętu i zła/idzie nowych ludzi plemię/ono z posad swych ruszy świat (...) Andrzej Duda nam się udał/razem z nim dźwigniemy kraj/Przecież wiara czyni cuda/więc nadziei wiarę daj”. Internautom pean na cześć Dudy skojarzył się z utworami sławiącymi Stalina, niektórzy drwili też, że kiedyś stanie się nowym hymnem Polski. Ale Golaszewskiej to nie zraziło. Powstały kolejne przeboje, w tym ten poświęcony zaprzysiężeniu prezydenta: „Cała Polska dzisiaj śpiewa/gdy Zygmunta bije dzwon/ głosząc, że zaprzysiężony/Andrzej Duda objął tron/W wielkie święto Przemienienia polskich serc i polskich dusz”.

Niezwykle wzruszony był też autor zaangażowanego tygodnika „wSieci” Marcin Wikło, który opisywał wizytę prezydenta: „Kiedy podjeżdża kolumna czarnych samochodów i prezydent wysiada z limuzyny, rozlegają się brawa. Andrzej Duda, to się uda! – krzyczy młoda kobieta. Już się udało – strofuje ją stojący obok rówieśnik. Są nieco onieśmieleni (...) Bardzo mi się podoba jako człowiek – nie ukrywa pani Teresa. – Pierwsze dni prezydentury, a on odwiedza Polskę powiatową. Odwiedza, bo tak nam obiecał – dodaje”.

Podczas spotkań z Andrzejem Dudą wątki polityczne mieszają się z religijnymi. Mowa jest o symbolach i znakach, „wybawieniu Polski”, „duchu odnowy”, „podniesionej hostii” i karze, jaka spotka tych, którzy ciemiężą naród. Samo odbicie Pałacu Prezydenckiego jest jednak dopiero wstępem do realizacji dziejowej misji: zwrócenia Polakom „Ojczyzny wolnej”. I tak aktywność prezydenta współgra z aktywnością „pani premier” Beaty Szydło. Bo wiceprezes PiS już zaczęła być traktowana przez sympatyków partii jak jedyna prawdziwa szefowa rządu. To złudzenie jest starannie reżyserowane.

Misjonarze Widać to było chociażby podczas uroczystości związanych z 35. rocznicą podpisania Porozumień Sierpniowych, w których prezydentowi Dudzie towarzyszyła nie urzędująca premier, ale właśnie pretendentka z PiS. To ona stała obok prezydenta w Szczecinie i w Gdańsku – najpierw na mszy w bazylice św. Brygidy, potem pod bramą Stoczni i w słynnej Sali BHP. Ewa Kopacz, choć też obecna 31 sierpnia w Gdańsku, rocznicę obchodziła osobno. Solidarność, której władze już nawet nie silą się na udawanie niezależności od PiS, szefowej rządu nie zaprosiła. Działacze związkowi z nieukrywana satysfakcją drwili z Kopacz, że „Platforma nawet młodzieżówki dla niej nie ściągnęła” i kwiaty pod pomnikiem Poległych Stoczniovców składała z borowcami. Tymczasem na uroczystościach sygnowanych przez dwóch panów Dudów – prezydenta oraz szefa, „S” – tłumy. Od związkowców, członków PiS i zwykłych gapiów po walczących o intronizację Jezusa na króla Polski Rycerzy Chrystusa.

Pod bazyliką św. Brygidy, w której nie mogli się wszyscy pomieścić, manifestowali swoje poglądy. W pobliżu jeździł też samochód ciągnący baner: „Wyślij Ewę na emeryturę. Bo #kolejnaEwę”. A na transparentach można było przeczytać, że „Polska z nadzieją patrzy w przyszłość z prezydentem Andrzejem Dudą”. Tę nadzieję słycać było w rozmowach przed kościołem. – *Oni*

więcej zrobią dla ludzi – przekonywał pan Piotr, budowlaniec z Gdańska. – *Bo Platforma może i robiła, ale nie dla tych, co trzeba.* Najbardziej zależy mu na niższym wieku emerytalnym. Głosował na Dudę, teraz zagłasuje na PiS. – *Najważniejsza rzecz to te pięć stów dla każdego dziecka, bo to obiecał* – podkreślał z kolei działacz Ligi Obrony Suwerenności. – *Ale prezydent na pewno przychylił się też do naszych postulatów, inaczej byłby człowiekiem niepoważnym.* I tłumaczył: – *Walczymy o dekomunizację przestrzeni publicznej, bo wszystko jest tak jak kiedyś, czyli promineni i ich dzieci są przy władzy. A trzeba dać szansę zwykłym ludziom i całą tę bandę wsadzić do więzienia. Dla zwykłych ludzi nie ma różnicy między komuną a kapitalizmem, nic się nie zmieniło i wciąż jest ta sama pogarda. Z jednej strony są patrioci, z drugiej złodzieje.*

Intronizacja Na rozrachunek po październikowych wyborach liczą też związkowcy. – *Zapraszamy 25 października na piękny koncert na Dudy i basy. To będą dożynki. Dorzniemy do końca! Trochę będzie bolało, ale musimy to zrobić* – twierdzi Stanisław Fudakowski, działacz opozycji w czasach PRL. Narzeka na nierówności społeczne i na to, że legendę Solidarności buduje się głównie na nazwiskach Lecha Wałęsy, Henryki Krzywonos i Jerzego Borowczaka. Ale na rocznicowym spotkaniu w Sali BHP byli już prawie wyłącznie ludzie PiS. I choć pojawili się też Jerzy Buzek, Waldemar Pawlak i Marian Krzaklewski, buzeniem, złośliwymi uwagami i gwizdami dano im odczuć, że nie są tu mile widziani. Za to prezydenta Dudę witały gorące oklaski. Podobnie jak wcześniej w kościele, skandowano jego imię, śpiewano mu „100 lat” i próbowano go uchwycić na zdjęciu, zwłaszcza kiedy przy powitaniu wziął na ręce małą dziewczynkę machającą biało-czerwoną flagą. – *Może przetrwamy jakoś do października* – wzdychał Karol Guzikiewicz z „S”.

Adoracja Prezydent – trudno powiedzieć, świadomie czy nie – podchwytuje te emocje i wzruszenie zwolenników. Mówi często o sobie w trzeciej osobie, z intonacją zbliżoną do tej, z jaką wygłasza się kazania. W namaszczonej sposób wygłasza dość banalne kwestie o niesprawiedliwości, naprawie, godności, bez szczegółów, ale za to z patosem. Powtarza, że jest zdeterminowany, niezłomny, że nie zabraknie mu odwagi. Widać zresztą jakieś przekonanie o własnej szczęśliwej gwiazdce, że wszystko musi się mu udać. W pewien sposób to rozumiałe – startował niemal od zera, a dzisiaj ledwie po paru miesiącach mieszka w Pałacu, jest Kawalerem Orderu Orła Białego i może nawet zadzwonić do Baracka Obamy. W sensie psychologicznym nietrudno zrozumieć, że prezydent Duda wciąż unosi się kilka centymetrów nad ziemią, co widać, słycać i czuć niemal w każdym jego publicznym wystąpieniu, które jest także swoistą autocelebracją.

Prezydent, co widać podczas spotkań w terenie, jest ulubieńcem szczególnie starszych kobiet. Są przejęte, za wszelką cenę chcą go zobaczyć, może nawet dotknąć. Ale młodszym ta atmosfera też się udziela. Tak było np. w Jastarni, gdzie prezydent inaugurował rok szkolny. Nawet lokalne dziennikarki próbowały uprosić funkcjonariuszkę BOR, aby pozwoliła im „tylko uściśnąć dłoń panu prezydentowi”. Przed szkołą oprócz rodziców z dziećmi czekał także tłum gapiów: mieszkańcy okolicznych miejscowości i turyści. – *Głosowaliśmy na prezydenta z nadzieją. Na weselszą Polskę, na młodszą, sympatyczną, bez problemów i bez arogancji* – deklarowała grupa wczasowiczów z Olsztyna.

Hagiografowie Andrzejowi Dudzie do poziomu zaufania, jakie miał Bronisław Komorowski, jeszcze daleko, jego sondaże są na razie niższe o kilkanaście punktów procentowych. Nowy prezydent, jak pokazują badania opinii, ma wręcz najgorsze wyniki ze wszystkich dotychczasowych głów państwa w pierwszej fazie sprawowania urzędu. Ale w prasie prawicowej, nazywającej się ►

► niepokorną, od wyborów trwa prawdziwa euforia, przybierająca formy z czasów głębokiego PRL. Bez końca można cytować apetyczne kawałki z „Gazety Polskiej”, „Do Rzeczy”, „wSieci” – o prawicowych portalach nie wspominając. To „wSieci” witało wybór Andrzeja Dudy okładką: „Prezydentura znów w godnych rękach”. I dodawało: „Zwycięstwo Andrzeja Dudy jest przerwaniem tamy kłamstwa i bezsilności”.

Czytamy: „Młody, ale nie za bardzo. Doświadczony, ale nie zmęczony. Zdeterminowany, ale nie radykalny. Za tak trafny wybór należy się premia. I jest”. „Zwyciężył dzięki swojemu wielkiemu zaangażowaniu i trudowi. (...) Wygrał swoim uśmiechem i kulturą. Dał nam powód do radości”. „Andrzej Duda to żywy dowód na słuszność maksy: warto być przyzwoitym. Tam gdzie niejedyn będzie się doszukiwał gry, hipokryzji, była najczęściej (...) prostolinijność i wierność wartościom”. „Prezydent Duda we wzajemnym szacunku Polaków zobaczył ogromny, narodowy, społeczny i państwowy kapitał, budulec dla polskiej wspólnoty”. „Umiał wystąpić w roli apostoła nowej epoki w relacjach między politykami”.

I dalej: „Podniesienie przez prezydenta Dudę hostii z ziemi miało wymiar metafizyczny, a nie propagandowy. To był znak. Symbol. Bo tak właśnie, z ziemi, podnieść trzeba to wszystko, co najświętsze, a co upadło”. „I właśnie tam, w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów nasz Pan rozpoczął dzieło wskrzeszenia. Pierwszym efektem był cud, którego doświadczyliśmy w dniu Zesłania Ducha Świętego. Ten, który ulepił ciało, wyjął z jego wnętrza trochę gliny i przywrócił nam głowę państwa. Nowy prezydent może nie do końca zdawać sobie z tego sprawę, ale według wszelkich znaków na niebie i ziemi został powołany nie tylko do pełnienia służby publicznej, lecz i do realizacji Bożego planu wobec Polski”. „Gdy w święto Przemienienia Pańskiego wychowanek śp. Lecha Kaczyńskiego przysięgał przed Zgromadzeniem Narodowym, że będzie strzegł niezłomnie godności narodu, mocniej zabiły serca żywych i umarłych”.

Protektorzy Ale też na prezydenta Dudę – i to jest najnowsza fala gazetowej hagiografii – czyhają złowrogie siły: „Mimo zasłużonej radości obóz głowy państwa musi działać bardzo ostrożnie, z ograniczonym kredytem zaufania wobec ośrodków zewnętrznych. Ze świadomością, że tuż po Smoleńsku z zimną krwią zamordowano w Łodzi działacza PiS, a ten sam morderca biegał po Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, poszukując w zbrodnicy celu Jarosława Kaczyńskiego. Pamiętajmy, że mało kto wierzył, iż coś takiego jak Smoleńsk w ogóle może się wydarzyć”. Odzywają się też obywatele zorganizowani, jak Akademickie Kluby Obywatelskie im. Lecha Kaczyńskiego, w których oświadczeniu można przeczytać: „w części mediów misja Prezydenta stała się obiektem stronicznej kampanii propagandowej, która jakże często przybiera formy nienawistnej, personalnej nagonki, określanej nazwą »przemysłu pogardy«”.

Do tego politycznego kultu publicznie dołączają inni. Aktorka Bożena Dykiel: „on ma wiarę w głosie, nie jest śpiącym borsukiem. Jest człowiekiem z energią, z chęcią zrobienia czegoś dobrego”. Krytyk operowy Bogusław Kaczyński zwrócił uwagę na dobrze postawiony głos nowego prezydenta i jego „urok”, a pewna pani profesor wyższej uczelni zauważyła, że Duda ma ładne, proporcjonalne ciało...

Ojciec i syn Jarosław Kaczyński długo spełniał na prawicy rolę jedynego idola, przywódcy, którego władza wykraczała poza organizacyjne ramy, zyskując metafizyczny wymiar, zwłaszcza po śmierci brata – prezydenta. Ale z czasem dało się zauważyć w elektoracie PiS pewne zwątpienie, także w wyniku kolejnych wyborczych porażek. Zmieniły się czasy, również medialne realia,

dorosło nowe pokolenie, nie tylko kukizowe, ale też czysto prawicowe, zanurzone już w nowej kulturowej i technologicznej rzeczywistości. I w te nowe oczekiwania wkroczył Duda; został przyjęty, bo był na prawicy bardzo potrzebny i wyczekiwany, on zapewnił pierwsze po wielu latach prawdziwe zwycięstwo.

Jak zauważają politolodzy, Duda ze względu na wiek mógł objąć znacznie więcej ról w społecznych imaginacjach, niż mógł to zrobić Kaczyński: idealnego męża, zięcia, syna czy starszego brata. Stał się dla swoich sympatyków łącznikiem pomiędzy ich tradycyjnym, konserwatywnym światem a współczesnymi wymogami atrakcyjności. Ktoś taki wydawał się w tym środowisku niemożliwy, dlatego kiedy się objawił, traktowany jest z taką atencją, jako rodzaj cudu, nagrody za wytrwałość. Obecny na Twitterze, z elegancką żoną i miłą córką, jawi się prawicy jako zrządzenie losu, wymarzona broń przeciwko tym, którzy chcieli mieć monopol na nowoczesność. Zarazem Duda, przy całej swojej „wyjątkowości”, wciąż jest tylko środkiem do celu, czyli wypelnienia misji PiS. Jest „święty”, lecz nie jako samoistny byt, ale instrument w planie zbawienia kraju.

Sam prezydent Duda, dopytywany choćby o ton niektórych prawicowych komentarzy, w których autorzy próbują doszukiwać się nadprzyrodzonych znaków związanych z jego elekcją, odpowiada: – *Jestem skromnym, zwykłym człowiekiem. Patrzę na to z uśmiechem, wiem, co mam do zrobienia, i będę chciał to zrealizować. Mam nadzieję, że będę miał w tym wsparcie przede wszystkim ze strony rządu i parlamentu, w którym musi być większość, która poprze idee prezydenta i jego projekty. I bardzo bym chciał, żeby taka większość była.*

W tym wszystkim Kaczyński nie został porzucony, ale zaczął pełnić funkcję szacownego nestora, ojca założyciela, wielkiego oddalonego od zwykłych spraw sternika, a na co dzień jest Duda, bo to z nim nowe pokolenie prawicy ma mentalną łączność. Ponadto, kiedy młody człowiek osiąga bardzo wysoką funkcję z wyboru, jakoś go to uszlachetnia, także poza jego politycznym środowiskiem, bo ludzie podatni na uniesienie zaczynają wierzyć, że coś w tym – i w nim – musi być nadzwyczajnego/nadprzyrodzonego.

Ta sytuacja niesie dla nowego prezydenta spore niebezpieczeństwo. Wobec Dudy, jak się wydaje, po początkowym ciepłym przyjęciu powoli narasta niechęć tych, którzy na niego nie głosowali, ale byli skłonni „dać mu szansę”. Jest wysoce prawdopodobne, że rodzący się na prawicy kult Dudy, podbity mesjanistycznymi wątkami, wzbudzi reakcję w postaci antykultu. Tym mocniej, im chętniej prezydent Duda będzie się swoim wyznawcom odwodził, uczestniczył w kampanii PiS i podpisywał się pod wszystkimi pomysłami, emocjami i obsesjami swojego – formalnie byłego – środowiska. Już powracają na forach używane w kampanii, a zarzucone po wyborach określenia typu „Maliniak”, coraz więcej niechęci, ironii, a nawet szyderstwa, które jeszcze niedawno adresowane były głównie do Komorowskiego i PO. Podejmowana przez prawicę próba wyjęcia Dudy spod jakiegokolwiek krytyki i traktowanie wszelkich jej przejawów jako powrotu do ścieżki smoleńskiej wzbudza zażenowanie i irytację. Nie wiadomo też jak na kult Dudy zareaguje Kaczyński (to on do tej pory był adresatem wezwań „Jarosław – Polskę zbaw!”).

Wydaje się zatem, że dzisiaj największym zagrożeniem dla prezydenta Dudy są nie tyle jego polityczni adwersarze, którzy wciąż zachowują powściągliwość, ile wyznawcy, widzący w nim kogoś, kto wypłeni całe zło tego świata, a na początek Platformę Obywatelską. Chcąc pozostać w ich oczach rycerzem bez skazy, nie zawiesić, sprostać uwielbieniu, nie może być prezydentem wszystkich obywateli, co wielokrotnie deklarował. Pytanie brzmi: czy nawet jeśli Andrzej Duda sam nie podsyca prawicowego kultu wokół siebie, nie stanie się jego zakładnikiem i ofiarą?

MALWINA DZIEDIC, MARIUSZ JANICKI

Największym zagrożeniem dla prezydenta Dudy są nie tyle jego polityczni adwersarze, ile wyznawcy widzący w nim kogoś, kto wypłeni całe zło tego świata, a na początek PO.